



Dom Serca Św. Alberta Hurtado

Rafał Bilicki, Chile

Październik 2018

Drodzy Przyjaciele,

co u Was słychać? Minęły kolejne dwa miesiące mojej misji, łącznie już 10 miesięcy w Chile. Mam nadzieję, że był to dla Was czas równie dobry, jak dla mnie. Dziękuję za Wasze nieustanne wsparcie i gesty przyjaźni! Polska wcale nie jest tak daleko od Chile jak mogłoby się wydawać...

Sandra

Pamiętam jak poznałem ją jakoś w drugim tygodniu po przyjeździe do Chile. Przyszła i nic nie mówiła. Uśmiechnąłem się do niej na powitanie. Odwzajemniła uśmiech, który wydał mi się kosztować ją wiele. Podaje mi rękę. Jest cała w bliznach po próbach samobójczych. *"Sandra, jak się masz?" "Dobrze..."* – odpowiadała ze wzrokiem wbitym w podłogę. *"Na pewno wszystko dobrze?" "Mhm..."*.

Poznając historię Sandry ciężko jest uwierzyć, że tyle cierpienia może spaść na jednego człowieka. Dzieciństwo spędziła w przytułkach i domach opieki, które w Chile funkcjonują bardzo źle. Wielokrotnie była tam bita przez opiekunki. Blizny po uderzeniach cały czas są obecne na jej głowie. Później jako nastolatka była wielokrotnie gwałcona przez swojego ojca i jego przyjaciela. Ojca się wyrzekła, a przyjaciela zabiła. Przez to trafia do więzienia na parę lat, z którego wyszła wcześniej dzięki dobremu sprawowaniu. Przez strażników więziennych również była bita do krwi i traktowana



jak śmieć. W wyniku któregoś z gwałtów zaszła w ciążę, a dziecko po urodzeniu jej odebrano i nigdy więcej go nie widziała. W wyniku tych wydarzeń Sandra na wiele lat zatraciła swoją kobiecość, w wielu wypadkach, dla bezpieczeństwa, udając i podając się za mężczyznę.

W czasie pobytu w więzieniu odkryła Boga. Odkryła, że Bóg kocha wszystkich i nad wszystkimi ma miłosierdzie. Że każdego człowieka traktuje jako kogoś wyjątkowego. Być

może dla wielu z nas brzmi to jak oczywistość, czy wręcz banał, ale dla Sandry, mając na względzie

wszystko, przez co przeszła, to odkrycie, które pozwoliło jej znaleźć na nowo nadzieję i chęć do życia. Kto z nas mógłby poszczycić się wiarą tak wielką, aby powiedzieć, że to ona go ocaliła? Z Sandrą tak właśnie było.

Bo Kościół, o którym tu piszę jest prawdziwie ukrzyżowany, oblany krwią od stóp do głów. Tutaj muszę porzucić myślenie o Chrystusie, który przychodzi do nas, mieszkających w bezpiecznych dzielnicach, dobrze ubranych, wybierających się w niedzielne poranki do kościoła, jak wychodzi się na spacer. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę, jak Sandra, że Jezus jest miłosierny dla wszystkich, bez wyjątku, i może odkupić każdą duszę. Dusze zabójców i gwałcicieli również. Gdyż Jezus jest Bogiem, który daje nieustanną szansę. *“Dla ludzi jest to niemożliwe, ale dla Boga nie ma nic niemożliwego”*. Obecność Sandry jest dla mnie żywym przykładem na to, że Boga nie da się zamknąć w pięknej bożonarodzeniowej szopce czy uczonych dyskusjach teologów.



Spotkanie z Sandrą pozwala mi zawsze wrócić do sensu misji, do sensu naszej obecności tutaj i sensu naszego charyzmatu polegającego na prostej obecności. Sandra bowiem przychodzi czasami i nie mówi nic, siedzi tylko ze wzrokiem wbitym w podłogę, a czasami mówi bez ustanku parę godzin, opowiadając o problemach obecnych i przeszłych. W obu tych przypadkach nie możemy zrobić nic więcej niż tylko być obecnymi. I ona nic więcej nie oczekuje, niż bycia wysłuchaną. Nie możemy przecież cofnąć czasu i poprawić jej dzieciństwa, nie możemy także zaplanować jej teraz szczęśliwego życia. Sandra przychodzi do nas nie po receptę na życie czy zbiór nakazów i zakazów, ale próbuje wypełnić naturalną dla człowieka potrzebę bycia kochanym, akceptowanym i docenionym. To, co możemy zrobić, to spróbować, przez naszą postawę, przypomnieć jej o jej niezbywalnej godności człowieka, którą przecież posiada, a której poczucie zatraciła po wielu latach życia w więzieniu i na ulicy.

To nie my uczymy czegokolwiek Sandrę, to ona uczy nas cichej służby, pomocy tym, którzy teraz są w gorszej sytuacji od nas samych i akceptacji życia takim, jakie jest.

“Rafa, chciałabym z Tobą porozmawiać chwilę na osobności” – powiedziała mi niedawno. Wyszliśmy na zewnątrz porozmawiać. “Chciałam Ci podziękować. I wszystkim wam. Za to co robicie. Nie wiecie nawet ile to znaczy dla nas, siedzących w więzieniu, których nikt nie odwiedza i których wszyscy traktują jak śmieci, że przychodzi ktoś nas odwiedzić i po prostu porozmawiać. I nas nie ocenia. I nie naucza jak być dobrym człowiekiem. Dzięki wam odkryłam, że ja też jestem człowiekiem i jestem godna miłości. Ciężko mi w to uwierzyć naprawdę, ale wy dajecie mi szansę uwierzyć w to. Dzięki za wszystko, co robicie dla nas, w których nikt nie wierzy”.

Cecilia

Jak opisać Cecilię? Dla mnie jest ona przykładem człowieka, który ma wiarę jak ziarno gorczycy i może rozkazać górze, aby rzuciła się w morze, a rzuci się. Ceci jest matką trójki dzieci. Najstarszy z nich – Diego, ma 33 lata i w dzieciństwie, na skutek błędu lekarza, poważnie zachorował. To przykuło go zupełnie do łóżka. Jego życie ograniczyło się do minimum – oprócz pojedynczych słów, nie mówi, nie chodzi. Jego mózg nie rozwinął się, a w wyniku wielu ataków epileptycznych został dodatkowo uszkodzony. Ojciec Diego opuścił jego i jego matkę, kiedy Diego był jeszcze mały. Do domu wrócił na parę miesięcy przed śmiercią, wiedząc że ma raka i prosząc Cecilię o przebaczenie i zajęcie się nim. Od tego czasu Ceci zajmowała się nimi dwoma. Diego zajmuje się do dziś.

Od ponad 30 lat Ceci prawie nie wychodzi z domu. Swoje życie powierzyła w pełni innym. Wychowując dodatkowo dwoje młodszych synów i opiekując się matką, która mieszka w domu obok, na tej samej parceli. Dodatkowo zaangażowana była w założenie szkoły specjalnej dla dzieci niepełnosprawnych w dzielnicy, a potem możliwości założenia takiej szkoły szukała w Hiszpanii, dokąd wyleciała na parę miesięcy.



Czy można znieść to wszystko bez narzekania, żalu i szukania winnych? Ceci zawsze pokazuje mi, że tak. Do swojego skromnego, ubogiego domu zawsze zaprasza nas z uśmiechem, traktując jak jedno dziecko więcej. Prawie zawsze widzimy Ceci schorowaną (przeszła wcześniej poważną operację kręgosłupa) i zmęczoną (Diego, przez swoją chorobę, prawie w ogóle nie śpi, całą noc hałasując). Wydaje się, że jutro nie

będzie miała siły wstać. Ale robi to codziennie od 30 lat! Ceci jest mistrzynią codziennego, zwyczajnego życia: prostych prac domowych, przez które przekazuje i demonstruje swoją miłość. Umycie, przebranie i przygotowanie łóżka dla Diego to pare godzin pracy, za które przecież nikt jej nie zapłaci, za które pewnie nigdy nie usłyszy nawet “dziękuję”.

I nie w docenieniu przez ludzi Cecilia szuka sensu. Jej pomostem między ludźmi jest Bóg. Ceci jest głęboko wierzącą w Jezusa protestantką i wszystko powierza Bogu. Zawsze szuka Jego woli, słucha Jego słów, naśladuje Jego czyny. Bez zażaleń i skarżenia się. Każdy jej dzień jest próbą, w której Bóg wypala ją jak złoto i odziera z egoizmu. A ona bierze ten Krzyż, który na nią spada, zapiera się siebie i idzie do przodu. Tylko raz widziałem ją jakby na skraju swojej wiary. *“Chciałbym doczekać dnia, aż całą rodziną, razem z Diego, usiądziemy do obiadu, porozmawiamy, pośmiejemy się... Chciałabym zobaczyć Diego jak kończy szkołę, jak bierze ślub. Jestem już okropnie zmęczona całą pracą. A wiem,*

że jeszcze tyle przede mną. I że tak zdecydował Bóg. Ale gdyby chciał, to mógłby w tej chwili uzdrowić Diego. Ale tego nie robi...”. Mówiąc to ma łzy w oczach, a ja czuję, że jej łzy są moimi łzami, że jej wątpliwości są moimi wątpliwościami. To jedyne co mogę zrobić – spróbować objąć jej Krzyż razem z nią.

“To dla mnie zaszczyt być matką takiego dziecka jak Diego” – mówi kilka dni później – “Nie wiem czym zasłużyłam się Bogu, że uczynił mnie tak ważną i dał mi taki skarb jakim jest Diego”...

Zakończenie

Kolejny raz dziękuję Wam wszystkim za wsparcie, które mi okazujecie. Dzięki niemu mogę być tutaj i towarzyszyć tym, którzy nas potrzebują. Mam nadzieję, że wakacje minęły Wam pomyślnie! Trzymajcie się i do usłyszenia za kolejne 2 miesiące!!



Z Panem Bogiem,

Rafał

